

Jox et solitudo*

Morderstwa w bloku

Przełożył Miłosz Waligórski

Nox et solitudo plenae sunt diabli.

Noc i samotność pełne są diablów.

(Ojcowie Kościoła)

*Człowiek ma rozum niczym aniołowie, żadnej innej
istoty poza aniołami i człowiekiem nie ma.*

Człowiek żywi się jadłem i napitkiem, rośnie i ginie.

Dlatego na podobieństwo jest drzew i kwiecica

a najprzód wszystkich żywych istot,

które od strawy uzależniono.

Człowiek czterema żywiołami stoi: ogniem, powietrzem,

wodą i ziemią, dlatego na podobieństwo jest kamieni

i metali, jak i wszystkiego, co z tych

cząstek wzeszło.

(Konrad von Megenberg *Księga osobliwości natury*)

Oglądam się, ale nikogo za sobą nie widzę.

Oddycham z ulgą, ale dla pewności ani trochę nie zwalniam kroku. Wchodzę w bramę i przez chwilę myślę, że sprawdzę w skrzynce czy przyszły jakieś listy. Rzadko mi się to zdarza i zazwyczaj nie znajduję tam nic, co mogłoby mnie zainteresować, same ulotki, reklamy i kupa kolorowych kartek.

* *Nox et solitudo* (1909) – tom wierszy Ivana Kraski, czołowego słowackiego symbolisty i impresjonisty. Datę wydania uznaje się za początek modernizmu w Słowacji [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

No to macham ręką i idę szybkim krokiem dalej przez korytarz. Jest ciemny i o szemranej porze późnego niedzielnego popołudnia zupełnie opustoszały. Popisany sprayem i śmierdzący. Wygląda tak, jakby architekt z całego serca pragnął stworzyć miejsce, które nie daje żadnej nadziei, tylko surową i brudną rozpacz, co mu się zresztą udało naprawdę brawurowo. Wiedział, że aby dojść do domu, koniecznie trzeba będzie codziennie tędy przechodzić i może właśnie dlatego zdecydował, że nie wolno nikomu w tym pomagać. Lubiałem sobie wyobrazać, że jeśli kiedyś zginę śmiercią tragiczną, to z pewnością tak, na tym korytarzu poderzną mi gardło.

Na tych ohydnych kafelkach.

Będę zdychał gdzieś w połowie drogi między żółtymi rurami a hydrantem, w szarym świetle. Znów mi to przyszło do głowy i prawie się zaśmiałem.

Gdy już będę w windzie, odetchnę z ulgą, oprę głowę o chłodną metalową ścianę i poczekam, aż mnie dowiezie na piąte. Głowa płonie, a tych kilka kroków trwa całą wieczność. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mierzyłem sobie temperaturę, ale to i tak nie ma znaczenia. Czuję jednak, że jest dość wysoka.

W 1919 roku zmarło na gripę więcej ludzi niż podczas pierwszej wojny światowej. To ciekawe.

Ciało powoli odmawia mi posłuszeństwa, ale ostatkiem sił próbuje jeszcze wykonywać przekazywane z mózgu polecenia.

Nagle w ciemnościach rozpoznaję postać. Zakłopotany nerwowo mrugam i nie mogę pojąć, co tutaj właściwie robi, musiała pojawić się dopiero w tej chwili. Zmaterializowała się jak w filmie SF klasy B, czy co? Stoi przy windzie. Kobieta o kasztanowych włosach, które proszą się o ponowne farbowanie. Na policzku ma duże zarośnięte znamię. Udaję wielkie zainteresowanie swoją komórką, chociaż wiadomo, że nie dzwoniła ani nic z tych rzeczy. Naciskam guziki, zapalam i gaszę wyświetlacz.

– „...dobry!“ – mówi kobieta, zdaje się, że mnie zna.

Przemykam obok niej bez pozdrowienia i z pozorną obojętnością idę po schodach na górę. Nie znoszę, gdy muszę z kimś jechać windą. Nie wiem, gdzie się patrzeć, co robić z rękami i nogami. Prawie nie oddycham, pocę się... Winda jest mała, dzieli nas raptem kilka centymetrów i ta bliskość jest naprawdę nie do zniesienia. Okropieństwo! Tłuste, zmęczone twarze i pozlepiane włosy. Przecież mnie z tymi ludźmi nic nie łączy, chcę tylko spokojnie dojechać na piąte piętro! Do swojego mieszkania. Sam.

Co robić...?!

Winda „z blaszanym przytupem” ląduje na parterze. Kobieta otwiera drzwi i chwilę czeka, czy może jednak się zdecyduje. Czuję na sobie jej spojrzenie. Czuję je na potylicy. W końcu kobieta odpuszcza i wsiada. Drzwi zamykają się z trzaskiem a ja wbiegam na górę po schodach. Nie wiem, gdzie mieszka ta kobieta, wiem tylko, że już ją wcześniej gdzieś tutaj widziałem. Nie wiem, na którym wysiądzie, ale na piątym chcę być szybciej niż ona. Byłoby niezręcznie, gdybyśmy na siebie wpadli, kiedy będzie wysiadać. Biegnę. Staram się zachować pewne dekorum. Zawsze tak robię. Jeśli się nie spotkamy, wyjdzie na to, że szedłem tylko na pierwsze albo drugie piętro i winda w ogóle nie była potrzebna, to oczywiste. Jestem już na drugim, gdy kabina niemrawo odrywa się od ziemi. Biegnę dalej. Oddycham gwałtownie, tryskam potem na wszystkie strony. Czuję, że za chwilę zrobi mi się niedobrze, ale dokładam wszelkich starań. Winda wyprzedza mnie na czwartym. Sadzę na górę, ale równocześnie między sapnięciami próbuję usłyszeć, gdzie może teraz być – czy już się zatrzymała, czy zmierza na jakieś wyższe piętro. Jeszcze tylko kilka schodków. Nareszcie! Zginam się w pół, nie mogę złapać oddechu, z ręki wypada mi torba z zakupami. Nie obchodzi mnie to. Jest mi niedobrze.

Drzwi windy nagle się otwierają. Spocony patrzę w twarz kobiecie o kasztanowych włosach. Mierzy mnie lodowatym, taksującym spojrzeniem, po czym niepostrzeżenie przesuwa się do drzwi mieszkania naprzeciwko. Otwiera je i zatrzaskuje za sobą. Powolnym krokiem docieram do swoich.

Jestem skrajnie wycieńczony.

W mieszkaniu taki sam półmrok, jak na korytarzu.

Ja wiem, niektórzy ludzie nie lubią światła i przez cały czas tkwią za spuszczoneymi żaluzjami. Ale to nie mój problem. Osiedle leży na rubieżach miasta, a tuż obok wije się sześciopasmowa wylotówka. Patrzyłem na nią jeszcze przed tygodniem, siedziałem w kuchni, piłem piwo i śledziłem ruch niekończących się sznurów aut niknących w oddali. Przyznaję, nie był to Bóg wie jaki widok, ale lubiłem go.

I tak nie miałem wyboru.

Później – w zeszły poniedziałek – zadzwonił do drzwi właściciel i powiedział, że na fasadzie budynku zamierzają umieścić wielki billboard, że to opłacalne i będą z tego duże pieniądze – rozumie pan, a ja, że tak, rozumiem. No pewnie, że to opłacalne, skoro z tym do mnie przyszedł. Wyraźnie się ucieszył. Powiedziałem – ale co mi do tego – a on, że właściwie to nic, tylko czynsz będzie mniejszy albo, jak będę chciał, to mogę się wyprowadzić, na co podobno niektórzy już się zdecydowali. Mówił, że kilka dni mnie szukał, ale nigdy nie mógł mnie zastać w domu. Dziwiłem się, bo w ogóle nie ruszałem się z mieszkania, ale nic mu na to nie odpowiedziałem, tylko wzruszyłem ramionami. Więc OK? – zapytał, a ja, że tak, OK. Przez cały czas przeżuwał jakiegoś hamburgera, a kiedy się żegnał, pluł na wszystkie strony. – Wiedziałem, że się dogadamy...! – dodał jeszcze z pełnymi ustami. Na mojej koszuli wylądował ośliniony kawałek bułki. Strzepnąłem go z obrzydzeniem.

Już następnego dnia zrozumiałem, co tak naprawdę miał na myśli.

Od rana w całym bloku panował harmider i hałas. Jakieś obce głosy przekrzykiwały się między kilkoma piętrami. Wszędzie trzaski i huki. Przed blokiem stali ludzie z naszej klatki i podekscytowani o czymś dyskutowali. Zbiegłem na dół i razem z całą resztą zszokowany patrzyłem na dach. Ekipa robotników zaczęła właśnie stamtąd spuszczać ogromne białe płótno z napisem:

ŻYCIE JEST NIEPRZEWIDYWALNE. NAM NIE JEST WSZYSTKO JEDNO! Poniżej logo agencji ubezpieczeniowej w cukierkowych kolorach. W miarę rozciągania płótna twarz pozującej zza biurka, zachwyconej blondynki, traciła zmarszczki i zaczynała się uśmiechać. Najpierw widziałem tylko jej usta i zęby na dwa palce, potem oczy... Uśmiechała się, tak. Siedziała w luksusowym apartamencie zadowolona z korzystnych inwestycji.

Nie mogłem protestować, właściciel powiedział, że billboard będzie na fasadzie i ani słowem nie wspomniał o tym, że na oknach. Ani o tym, że nie będzie można przez nie patrzeć.

Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że cały widok z okna zakrył napis: DNO. Z wykrzyknikiem. Ciągnął się z dziennego aż do kuchni.

Teraz jestem w krainie po drugiej stronie lustra.

„Gdzie ja jestem...? Ale wszystko dziś jest zdumiewające! A jeszcze wczoraj było jakby inne...!” – rzekła Alicja do Króliczka. „Och, czemu tyle płakałam! (...) Przypuszczam, że zostanę teraz za to ukarana utopieniem we własnych łzach!”•

Do miasta przyjechałem pół roku temu, szukając pracy. Pamiętam, gdy na dworcu wysiadałem z pociągu i gdy, idąc po szerokiej ulicy, po której śmigały samochody i trolejbusy, czułem przyjemny, ciepły wiatr, myślałem, że właśnie oto cały świat leży u mych stóp. Cały świat! W porządku, nie myliłem się, jednak nie byłoby zupełnie od rzeczy, gdybym ten świat precyzyjniej zdefiniował. Niedopałki w popiele? Gołębie? Patyczki od lodów? *Svet*** po rosyjsku znaczy *światło*, po angielsku *pot*. Albo *harówka*. Zależy jak na to spojrzemy. I jak wymówimy.

• Fragmenty książki *Przygody Alicji w krainie czarów* Lewisa Carolla w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

** Svet (słow.) – świat.

Nikogo w tym mieście nie znałem, ale byłem szczęśliwy. Teraz jest tak samo, tylko już nie uważam, że samotność jest oznaką szczęścia. Jestem cudzoziemcem, widać to po mnie na każdym kroku. Tak to jest!

Ja tutaj nie pasuję.

Również takie myśli, jedna o drugą tłuką mi się po głowie, kiedy zdejmuję ubłocone buty i wlokę się do pokoju. Osuwam się na kanapę, która nie jest moja i przez chwilę mam wrażenie, że teraz to już na pewno umrę.

Właśnie w tej chwili.

Zgoda, co prawda nie będzie to wykafelkowany korytarz ani brutalna śmierć, ale przynajmniej dokona się w tym bloku, niech będzie. W tym mieszkaniu. Na cudzej kanapie. Pięknie w ciszy, tak, jak zwykł się ten dramat odbywać od tysiącleci. I jeszcze przez wiele dni nie odkryją mojego ciała. Dni?! Tygodni, miesięcy, lat nawet! I dopiero kiedy ten blok zniszczy i go zburzą, dopiero wtedy to się stanie. Ściągną billboard i zajrzą do środka. I mnie znajdą. Zmiotą rozproszone po pokoju kości i wyrzucą do kosza.

Załatwione.

Nie wiadomo dlaczego zaczynam trząść się z zimna. Szczękam zębami i nie umiem tego przerwać. Nie powinienem wychodzić na dwór, tylko zostać w łóżku! Ale potrzebowałem Jox. I czegoś do jedzenia... Chociaż w ogóle nie jestem głodny. Ciężą mi powieki. Oglądam się – coś chrobocze! Regularnymi pociągnięciami piłuje mi głowę. Acha, to tykanie budzika! Woda w spłuczce bełkocze jak niekończąca się i niezrozumiała audycja w obcym języku. Nie mieszczę się w pokoju, jestem większy niż dom, o wiele większy. Moja głowa to ołowiany ciężarek, ciągnie mnie w dół. Sufit jest coraz bliżej. Koniec moich nóg widzę gdzieś po drugiej stronie mieszkania, palce rąk ciągną się kilometrami. Wszystko znajduje się strasznie daleko! Łokciem dotykam jednej zimnej ściany a ramieniem drugiej. Głowę mam pod sufitem, nie mogę się wyprostować. Jestem unieruchomiony, w potrzasku. Gdzieś kapie woda, wyraźnie to słyszę. Obracam ciężką głowę.

„Przedostają się przez sufit! Już tu są!” krzyczy zachrypłym głosem pani z mieszkania nade mną. Słyszę ją nawet przez ścianę.

Cały dzień słucham różnych dźwięków.

Rano były to spluczki, jedna za drugą, rury dudniły bezdźwięcznie i grzmiały jak wzburzone, uwięzione morza, które chcą odzyskać wolność, gdzieś odzywał się głos z kuchni, brzęk sztućców; raz ciszej, raz głośniejsze radio bez werwy zachęcało do niedzielnej sjesty... Później doszły do głosu prysznic i ledwo słyszalne, raz dyskretne, raz niedyskretne trzeszczenia łóżek, chrząkanie, nieskończone strumienie wody w różnorodnych tonacjach, mecz piłkarski rozgrywany gdzieś na innej planecie – na Jowiszu albo Saturnie czy Bóg wie gdzie – sprzężenia gitary elektrycznej, muzyka... Znowu wieczny chrobot kanalizacji wodnej... Odjazdy i przyjazdy, pożegnania i powitania, szelest toreb, pies, któremu ktoś nadepnął na łapę... pociągi i samoloty...

Nie. Tylko nie to!

Stoję oparty o umywalkę i staram się utrzymać równowagę. Słupek rtęci na termometrze wspiał się niewiarygodnie wysoko. Odkładam na półkę buteleczkę z napisem *JOX, Otorhynolaryngologikum*. Do gardła splywa brązowa ciecz. Nie przełykać, tylko nie przełykać. Przynajmniej przez chwilę.

Przynajmniej przez minutę.

Strasznie szczypie. Piecze w język.

Później wpadam w ostateczny poślizg i przewracam się. Kładę się do pustej wanny. Jest zimna. W końcu leżę. Mam na sobie przepocone ubrania, kleją się do skóry. Od przyjscia na *svet* nie zdążyłem się jeszcze przebrać, nawet nie wiem, ile upłynęło od wtedy czasu. Ale mnie to nie obchodzi. Najważniejsze, że leżę. Co minutę spada mi na twarz jedna kropla. Zbiera się, powoli nabrzmiwa przezroczysty wodny sutek, po czym odrywa się, ulegając sile grawitacji. Nie da się tego znieść.

W końcu mogę przełykać.

Fuj! Jakie to wstrętne!

Za ścianą ktoś puszcza wodę do wanny. To jedno z mieszkań w sąsiedniej klatce. Łazienki ściśle do siebie przylegają. Kąpiemy się oddaleni od siebie raptem o kilka centymetrów. Ile to może być – dwadzieścia, trzydzieści? Słyszę jego ciężki oddech, potem kilka uderzeń. Tarcie piętami o dno wanny – zawsze lubiłem ten dźwięk, przede wszystkim dlatego, że zaraz potem ciało ogarnia relaksujące ciepło. Teraz chyba się zanurzył. Czuję to nawet za niego.

Co za ulga!

„No, podnieś się już, stary ośle!” – odezwał się nagle głos, należący zapewne do starszej pani. „Co się tak wylegujesz, wychodź, mówię ci!”

Łazienka zniekształca głos, więc brzmi głucho, ale równocześnie bardzo blisko. Drugi, cichy głos, próbuje protestować, ale ogranicza się jedynie do kilku nieartykułowanych dźwięków. Następuje seria kolejnych walnięć.

„Co jest?! Weź już...! Jezus Maria, co ty tam tak długo robisz, baranie?!”

Gwałtowne oddechy, tarcie ciała o dno wanny.

„Jak długo można?! Słyszysz mnie?! Słyszysz, idioto?!”

Później kroki, które się oddalają i głos skierowany do telefonu. Nie rozumiem nic poza:

„Halo...do nas...mąż...! Tak...tak, ale...!”

W końcu wszystkie głosy nikną.

Zza innej ściany nagle ryknęła muzyka. Wagner. W tym bloku nigdy nie może być długo cicho.

„Już nie jesteś moja! Nie chcę cię!” – drze się ta krowa z piętra niżej.

Chyba znowu wpływa na nią pogoda. Zazwyczaj jest tak, że gdy tylko trochę zmieni się ciśnienie, od razu wszystko wywraca się do góry nogami. Kiedyś wygrała jakiś konkurs piękności, teraz mieszka w tym obleśnym bloku z papierowymi ścianami, na obrzeżach miasta i co chwilę stuka młotkiem w sufit, wystarczy, że się przejdę po pokoju. Później wysyła do mnie swoją

spłoszoną córkę z poleceniem, żebym nie tupał. Kiedy indziej tak długo naciska na męża, aż wściekły wybiega po schodach na górę i krzyczy za moimi drzwiami jak opętany. W ten sposób terroryzuje wszystkich sąsiadów. Jestem dumny, że nie jestem w tym osamotniony – temu z dołu zarzuca, że jego żona bez przerwy chodzi po parkiecie na wysokich obcasach, innemu z kolei, że za głośno gra u niego radio. Swoją córkę z przyjemnością zamyka za karę w ubikacji. Zakładam, że teraz też tak się stało. Trzasnęły drzwi, przekreślił się w nich klucz i został tylko cichy płacz i niezrozumiałe mamrotanie.

Za chwilę kobieta z nowymi siłami naskoczyła na męża. Pobrali się chyba przed rokiem, czego świeżo upieczony mąż oczywiście przez pomyłkę nie zauważył albo realizował wszystko pod wpływem jakiegoś silnego środka odurzającego, inaczej podobnej decyzji nie umiem sobie wyjaśnić. Zaakceptowanie męża kobieta wymusiła również na swojej córce i pod groźbą lania skłoniła ją, by mówiła do niego *tatko*. Nic o nim nie wiem (poza tym, że jego postura przypomina mi larwalne stadium robaka), tylko raz słyszałem, gdy fetyszystycznie przechwalał się przez telefon, że udało mu się kupić przepoconą koszulkę znanego bramkarza hokejowego – Oczywiście – *In natura...!* – mówił dumnie. Tylko że pot to pot, niezależnie od tego, do kogo należy. Teraz za koszulkę zabrały się mole. Kłótnia dotyczy również tego, jeśli dobrze rozumiem. Rozbrzmiało obligatoryjne tłuczenie talerzy. Znow popuściła cugli swojemu skrzekliwemu sopranowi.

„By-dlę!!!” – skanduje. Załamuje jej się głos. „Nigdy nie umiałeś nawet...!”.

Nie słyszę już kolejnej repliki, ponieważ wszystko przerywa głośne zawodzenie zza okna.

Słysząc kilka mocnych uderzeń, a po nich krzyki. Echo niesie je po całym osiedlu. W normalnych okolicznościach oczywiście od razu bym zobaczył, o co chodzi, ale billboard przepuszcza do mojego mieszkania jedynie zamglone

światła latarni i wywołuje wrażenie, że zapadł zmrok i jest już prawie noc. Nie mam siły na subtelne obserwacje, ale na zewnątrz najwyraźniej coś się stało.

Krzyki i poruszenie nie ustają.

Po chwili nie wytrzymuję, zarzucam na swoje roztrzęsione ciało jakieś ubranie i wychodzę w noc. Otacza mnie lepka ciemność, a każdy krok jest piekielnie trudny. Huczy mi w głowie. Dudnienie od wewnątrz rozsadza mi czaszkę.

Nawet nie wiem, jak udało mi się tak daleko zajść.

Przed restauracją czarne Audi wjechało na słup. Stoi tu kilka wozów policyjnych na sygnale i policjanci, którzy rozciągają taśmy z zielonymi napisami POLICJA. Wokół mnóstwo ludzi. Wchodzę w tłum i natychmiast słyszę kilka zupełnie różnych wersji tego, co się stało. Z drogi, pewnie na pełnej prędkości, wyskoczył samochód i gnał prosto w kierunku zatłoczonej restauracji – usłyszałem pisk opon, a potem cztery silne, tępe uderzenia, kiedy na najwyższej prędkości przemierzał pusty plac zabaw i chodnik, gdzie potrącił kilka osób.

Jednak w każdej wersji powtarza się informacja, że są co najmniej dwie ofiary śmiertelne. Kiedy wyciągam szyję, widzę na chodniku buty – przy zderzeniu właśnie one odlatują jako pierwsze, powtarza ciągle starszy pan – i leży tam coś przykrytego białym igelitem. Dwie małe dziewczynki niewzruszone wskazują na wystające płowe włosy. Mężczyzna, który przyszedł później ode mnie, występuje jako naoczny świadek, ochoczo udziela wywiadów reporterom telewizyjnym, którzy w trybie przyspieszonym musieli zerwać się z łóżka. Rozhisteryzowana czarnowłosa kobieta siedzi na krawężniku i co chwilę wykrzykuje pod adresem kierowcy, który cudownym trafem wyszedł z zajścia cało, zarzuty morderstwa. Stojący wokół mężczyźni są zadowoleni, że w nudny niedzielny wieczór w ogóle się coś dzieje. Jeśli mieliby taką możliwość, z pewnością głosowaliby za ponownym wprowadzeniem egzekucji publicznych. Gdyby któryś ze strażaków podszedł do kierowcy rozbitego

samochodu i zabił go szczypcami, niewątpliwie przyjęliby ten czyn z entuzjazmem. Przyglądam się twarzom wokoło. Pozostali ewidentnie odczuwają jedynie jakąś niezdrową ciekawość – przecież w każdym filmie katastroficznym jest o wiele więcej krwawych i niesmacznych detali niż tutaj, a tej sekwencji w ogóle brakuje dramaturgii. Nie ma żadnej muzyki, wszystko przebiega gładko, bez cięć, bez akcji...

Szalona noc! Trzęsę się z zimna.

„Panu jest niedobrze? Halo!”.

Nie jestem w stanie zrobić kroku.

Ale mimo to biegnę. Biegnę jak najdalej stąd.

Znów jestem w swoim mieszkaniu. Opieram się plecami o drzwi.

Moje schronienie! Wprawdzie jest mi niedobrze, ale to jedyne miejsce, w którym czuję się znośnie. Zaczynam nawet odnosić wrażenie (jak wiele osób, które dźwigają jakieś brzemie), że ten billboard na fasadzie to ochrona przed światem zewnętrznym. Otwieram okno i delikatnie przesuwam po nim rękami. Odczuwam szczęście. Dziwię się, jak mogłem dotychczas funkcjonować bez niego.

I nagle zaczynam się bać, że pewnego słonecznego dnia przyjdą i go zdejmą. Zrobią to tak samo zgrabnie jak przy wieszaniu, ba, pójdzie im nawet jeszcze sprawniej. I znowu będę wydany na pastwę otaczającego mnie świata. Zimnego powietrza. Wiatru. Świata za billboardem.

Svet po rosyjsku znaczy *światło*. Za dużo światła, za dużo ludzi...

„Wyobraź sobie, że lustro nagle zmięknie jak para, a my przez nie przejdziemy. To będzie wspaniałe, gdy będą mnie widzieli przez lustro, ale się nie przedostaną!” – powiedziałaaby Alicja.

Zanurzam mokrą spoconą twarz w napięte płótno, w napis „DNO!” Przenikają przez nie jedynie rozmazane światła latarni.

Z przedpokoju dobiega szmer. Wyobrażam sobie zaniedbaną sąsiadkę, starszuskę oczarowaną Wagnerem i wszystkim możliwym, która niecierpliwie

przestępuje z nogi na nogę przed moimi drzwiami, nerwowo puka, i, gdy tylko je otwieram, ściszone głosem, tak żeby, na Boga, niczego nie usłyszał jej mąż, prosi o pięćdziesiąt koron. W domu ma pewnie całe tony cukru cynamonowego i proszków do pieczenia, które kupuje razem z butelką rumu. O ile mi wiadomo, nigdy nie piekli żadnego ciasta. Przecież bym poznał po zapachu.

Po chwili słyszę nerwowe pukanie już na niższym piętrze, które przerywa gwałtowną kłótnię, a później jeszcze dalej. Nie wiem dlaczego, ale czuję ulgę.

Ciągle coś mi się pcha do mieszkania.

Przedostaje się siłą, włazi, wdziera się i przeciska przez wszystkie szpary i otwory już od początku lata. Jasna sprawa – natura odbiera wszystko, co jej zabraliśmy. Ale dlaczego w swoim błyskotliwym, niszczycielskim planie uwzględniła akurat moje mieszkanie?

Gołębie osrały mi cały balkon. W lodówce w niepojętych ilościach roją się muszki owocowe i nie umiem się ich pozbyć. Coraz liczniejsze ich zastępy latają nad rozkładającymi się warzywami. Są zamroczone, ledwo się ruszają, ale wyglądają na szczęśliwe.

Dwa tygodnie temu stwierdziłem, że grzebacz złożył jaja w moim pudełku na listy. Widywałem go za każdym razem, kiedy wlatywał do środka, ale nie przykładałem do tego żadnej wagi. Zwykła pszczoła, myślałem sobie, albo coś podobnego. Nie ma tu czego szukać, niczego tu nie znajdzie, szybko zmieni zdanie i odleci. Dopiero później zauważyłem ten dobrze zamaskowany szary kokon z gliny. Pulsowało w nim jakieś ciało. Przez otwór powoli wysuwały się cienkie pajęczne nóżki. Później grzebacz przywaliłem do ziemi książką i z popuszczzonego uścisku wyskoczył tłusty odurzony krzyżak. Wyczytałem gdzieś, że paraliżują je ukłuciem w węzeł nerwowy na brzuszku. Następnie budują kokon ze śliny i gliny, wkładają je do środka i składają na nie te swoje wstrętne jaja. Kiedy wylęgają się larwy, zaczynają od wewnątrz zżerać pająka, który ciągle jeszcze żyje, ale nie może uciec.

Ten owad ciągle tu przylatuje, nawet znalazł dziurę w billboardzie. Nie umiem się przed tym obronić.

Siedemdziesiąt procent masy zwierzęcej na świecie tworzy robactwo, które przeżyje, nawet jeśli my zginiemy – mówili o tym w filmie dokumentalnym. Trochę to patetyczne, ale z pewnością prawdziwe.

Każdy dzień jest dla natury potężną masakrą i narodzinami zarazem.

Gwałtowną klótnię piętro niżej zakończyło przed chwilą pięć głośnych uderzeń. Zabił ją w końcu? Jaki dźwięk wydaje głowa roztrzaskiwana o ścianę? Może właśnie taki. Czuję odprężenie. Cicho się śmieję.

Z zamyślenia wyrywa mnie zawzięte pukanie do drzwi. Znów tu jest! Puka bardzo szybko, jakby złapał ją skurcz w ręce. Każde uderzenie odbija się w mojej głowie. Jestem gotów to wytrzymać. Nie może przecież wyprawiać, co jej się żywnie podoba! Nie otworzę jej! Nie otworzę!

Pukanie nie ustaje, a nawet przybiera na sile.

Z zaciśniętymi zębami biegnę przez pokój, zataczam się i obijam o ściany. Sam się sobie dziwię, że znajduję drzwi i je otwieram. Stoi za nimi z pomarszczoną popielatą twarzą, wyliniałymi siwymi włosami i tępym wyrazem twarzy. Nie dostrzega nawet, że drzwi są otwarte, dalej wykonuje mimowolne ruchy ręką.

Naukowcy w 1974 roku wysłali z radioteleskopu w Arecibo wiadomość w kosmos w nadziei, że znajdą ją inteligentni kosmici. Wiadomość zawiera informacje o życiu na Ziemi przedstawione pod postacią kilku prostych obrazków. Wyglądają jak nieudana makatka wyhaftowana ścięciem krzyżkowym. Ja jej nie rozumiem, więc i istota pozaziemska o zupełnie odmiennej kulturze musi zabawnie wyglądać, gdy z zakłopotaniem patrzy na te nieregularne gryzmoły i widzi w nich „podwójną spiralę molekuly DNA, która zawiera kod życia”, „położenie Ziemi w systemie słonecznym” albo „istotę człowieka”. W artykule ponadto było napisane, że sygnał był wysłany w kierunku gromady M13, która jest tak daleko, że na odpowiedź, jeśli jakaś w

ogóle przyjdzie, będziemy musieli poczekać co najmniej 48 000 lat. Nie dożyję tej chwili, ale gdy patrzę na to, co im wysyłam, doskonale umiem ją sobie wyobrazić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa (przeczytałem o tym trzy strony dalej w zupełnie innym kontekście) będzie tak, że wcześniej naszą cywilizację zniszczy jakiś przypadkowo przelatujący meteor, więc kwestia nawiązania kontaktu jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

Kiedy kobieta powoli podnosi głowę i nieprzytomnie na mnie spogląda, łapię ją za koszulkę i wciągam do mieszkania. Nawet się nie broni. Potrząsam nią z wściekłością:

„Ty ludzkie gówno, na co ty sobie pozwalasz?!?!”.

Swój głos słyszę jakby z pomieszczenia obok. Z nią zresztą jest niewiele lepiej. Pewnie w aptece sprzedali jej na czarno jakieś proszki i teraz musi im za nie zapłacić. Dlatego na gwałt potrzebuje pieniędzy.

Chwytam ją za szyję i zaczynam dusić. Sposobność porządnego ściśnięcia jej wstrętnego pomarszczonego gardła obrośniętego rozciągniętą skórą jest nad wyraz pociągająca. Tak bardzo, że nie mogę tego nie zrobić. Trząść nią i dusić coraz mocniej i mocniej aż do końca, potem wywalić za drzwi i spokojnie je zatrzaskać w poczuciu dobrze wykonanego obowiązku. Zrzucić z siebie brzemię. Potworny ciężar. Tak, ale to piękne! Czasem tak mało człowiekowi wystarczy.

Muszę to zrobić, to takie kuszące!

Drzwi zatrzaskują się z hukiem. Nie wiem, czy ją zabiłem, czy nie żyje. I co z tego – przecież dzisiaj wszyscy mordują, taki wieczór! Wstaję i spoglądam przez judasza. Nigdzie jej nie widzę. Pewnie leży gdzieś nieruchomo na ziemi.

Umywam ręce, odnoszę wrażenie, że pobrudziła mnie od stóp do głów. Kiedy zakręcam kran, znowu słyszę głosy z łazienki obok. Najpierw to właściwie jeden, głęboki męski:

„No...Niczego nie da się zrobić. Miał słabe serduszko, rozumie pani?”

„Coś ty mi zrobił, Stefan...?” Rozpoznaję drżący głos starszej pani.

„No to...No to...Czy ma pani kogoś, kto pomoże pani załatwić...” głęboki głos na chwilę osłabł. „... to wszystko?”

„Tak, tak... Chyba tak...”

Później znów zaległa cisza, a po chwili staruszka znów coś zaczęła mówić do telefonu.

„Oleńka, halo, Oleńka? Przyjedź, ojciec nie żyje... Że co? Nie słyszysz? Ojciec nie żyje! Nie żyje, mówię...! Niech to, pieprzony telefon...! Halo! Oleńka...? Oj-ciec nie ży-je!!! Głucha jesteś, czy co...?! Tak... Właśnie! Przyjedziesz? Dobrze”.

Słyszę dźwięki, wiele dźwięków.

Burzliwa noc.

Krzyki, jęki, westchnienia. Ludzie wypadają z okien, wpadają pod samochody, zabijają się. Duszą się, podrywają gardła, strzelają do siebie, topią się i palą. Doszczętnie palą. Boli mnie od tego głowa. Mam wrażenie, że dłużej tego nie wytrzymam.

Dłużej tego nie wytrzymam!

A później nastaje cisza.

Cisza.

Usnął ruch przed restauracją. Ludzie pewnie się rozeszli zaraz po tym, jak usunięto wrak, a samochód pogrzebowy zabrał zmarłych. Usłyszałem jeszcze szum – prawdopodobnie któryś ze strażaków obsikiwał wodą miejsce wypadku. Zmywał krew, po czym w jednej chwili powiedział:

„Starczy! Jedziemy do domu!”

Nagle lunął miłosierny deszcz.

Pogoda zdecydowała się wyżyć mój mózg i uścisk powoli ustępuje. Wystawiam głowę za okno, przez białą powierzchnię billboardu słucham dźwięku spadających na beton gdzieś na dole kropel deszczu, wdycham

wilgotny zapach. Deszcz oczyszcza powietrze. Trzęsę się z zimna, ale takie doznanie jest tego warte.

Wtaczam się z powrotem do mieszkania i kładę na dywan.

Świat znów jest pusty i cichy. Nikt w nim nie został. Tylko ja. Wszyscy są martwi. Ale ulga! Wymordowali się.

Został tylko ten palant z góry, ma telewizor włączony na cały regulator i raz po raz się wydziera.

Zamykają mi się oczy. Zapadam w sen.

Rano budzi mnie dzwonek do drzwi.

Zrywam się i jeszcze nie jestem do końca pewny, czy dźwięk dzwonka nie dobiega z wewnątrz snu. Za chwilę jednak znowu go słyhać; półprzytomny wstaję i podbiegam do drzwi. Jestem rozczochrany, mam posklejane oczy. Otwieram bez zastanowienia.

Przed drzwiami stoją dwaj policjanci.

„Słucham panów...?”

Więc już na to wpadli! Myślę, co by tu zrobić, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

„Pan tu mieszka?”

„Tak...”

Obaj mierzą mnie surowym spojrzeniem, z ich twarzy nie da się nic wyczytać. Ale na pewno przyszli z tego powodu. Przecież zostawiłem ją na korytarzu przed drzwiami. Co za idiota!

„Chcielibyśmy pana o coś spytać. Ma pan chwilkę?”

Nie mogę wykrztusić ani słowa, jedynie przytakuję. No to koniec! Z nosa spływają mi smarki. Wciągamy je szybko z powrotem.

„Chodzi o panią Royową*”. Wbijają we mnie wzrok.

* Vladimír Roy (1885–1936) – do żony czołowy przedstawiciel słowackiego modernizmu. Pisarz, tłumacz, autor listów Viery Royovej.

A więc nazywa się Royová! Nawet nie wiedziałem. Teraz to i tak już wszystko jedno.

„Yhm...”.

„Zna pan ją?”.

„A o co chodzi...?”.

„Ktoś ją w nocy zabił...!”. Znow te spojrzenia. Moje czoło przerzyna strużka potu.

Nie wiem, jak mam się zachować. Naprawdę nie wiem.

„Nie zauważył pan czegoś podejrzanego? Jakiś dźwięków, jakiś ludzi... Tu, w bloku?”.

Kręcę głową. „Jeszcze raz, jak się nazywa...?”.

„Przecież na pewno pan ją zna!” odzywa się drugi. „Kasztanowe włosy, około czterdziestu lat, brązowe oczy. Na lewym policzku duże znamię!”.

Kasztanowe włosy... Znamię...

„Nie... nie”.

„Zupełnie nic? Żadnych podejrzanym dźwięków albo ludzi? Niczego pan nie zauważył?”.

Kręcę głową.

„Przecież to się stało kilka metrów od pańskiego mieszkania! Kilka cholernych kroków! Po drugiej stronie korytarza!”.

Milczę.

„W porządku...! Gdyby pan sobie o czymś przypomniał, prosimy dać znać!”.

„Aha... A... to wszystko?”.

„Słucham?!”.

„A nic... Do widzenia!”.

„Do widzenia”.

„Wiesz, albo to się śniło mnie, albo Czarnemu Królowi. On, oczywiście, był częścią mojego snu – ale ja z kolei jego. Komu więc to się właściwie śniło?”
– spytałaby Alicja.